



JOANNA
BATOR

JAPÓŃSKI
WACHLARZ
—
POWROTY

JOANNA
BATOR

JAPOŃSKI
WACHLARZ
—
POWROTY

w
ab

JOANNA BATOR

jest autorką prac naukowych,
esejów, powieści i opowiadań.

Wykłada w Polsko-Japońskiej
Wyższej Szkole Technik Komputerowych
na Wydziale Kultury Japonii. Publikowała
m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Twórczości”,
„Czasie Kultury”, „Tygodniku Powszechnym”,
„Kulturze i Społeczeństwie”. W 2009 roku
wydała w W.A.B. znakomicie przyjętą

Piaskową Górę (nominowaną
do Nagrody NIKE i GDYNIA oraz
nagrodzoną w konkursie Polskiego
Towarzystwa Wydawców Książek),

a rok później jej kontynuację, *Chmurdalię*.

Obecnie autorka pracuje nad kolejną powieścią.
Za książkę *Japoński wachlarz* (2004) otrzymała
Nagrodę im. Beaty Pawlak. Niniejsze wydanie
zostało zaktualizowane i poszerzone.

Copyright © Joanna Bator, 2011
Copyright © Wydawnictwo W.A.B., 2011
Wydanie II, poprawione i poszerzone
Warszawa 2011

Autor nigdy, w żadnym znaczeniu tego słowa, nie fotografował Japonii. Wręcz przeciwnie, to Japonia oświetliła go błyskiem wielu gwiazd; albo jeszcze inaczej mówiąc: to Japonia zmusiła go do pisania.

Roland Barthes

Znalazłam się w posiadaniu dużej ilości papieru i zaczęłam wypełniać kolejne zeszyty opisami dziwnych zdarzeń, historiami z przeszłości i innymi najróżniejszymi rzeczami, włączając nieraz te najbardziej trywialne. Przede wszystkim skupiłam się na rzeczach i osobach, które uważałam za urocze i wspaniałe, ale moje zapiski pełne są również wierszy oraz uwag na temat drzew i roślin, ptaków i owadów.

Sei Shōnagon

Tak naprawdę cała ta Japonia jest czystym wymysłem. Nie ma ani takiego kraju, ani takich ludzi.

Oscar Wilde

日本送

A Japanese Fan

狂¹⁰²⁴



送

+

族



太陽族

Profesor Plushizume Humany mi,
dla receptu kucha no part melonje
kyat moje; kengaki me pup'adli.

od autorki

Taką książkę jak *Japoński wachlarz* pisze się tylko raz. Nie da się powtórzyć doświadczenia pierwszego spotkania z inną kulturą, pierwszych zachwyków i zdziwienia. Takich tekstów nie da się także poprawić, bo stałyby się fałszywe, nawet jeśli zyskałyby na historycznej czy antropologicznej głębi. Dziś patrzę na Japonię z innego miejsca, a książka, którą zapewne wkrótce napiszę, bardzo będzie się różnić od *Japońskiego wachlarza*. Dziesięć lat temu trafiłam do kraju, o którym nigdy nie marzyłam i o którym nie wiedziałam wiele. Tamta podróż wydawała się być jednorazową przygodą, piękną, ale nieznaczącą, którą los ofiarował mi na życiowym rozdrożu w jednym z niewiarygodnych zbiegów szczęśliwych okoliczności. Wiem, że z różnych powodów podobna wyprawa już mi się nie przydarzy, dlatego wspominam ją z czułością i nostalgią. Jej zapisem jest *Japoński wachlarz*, którego nową wersję oddaję Czytelnikom do rąk. *Japoński wachlarz. Powroty*, przewodnik osobisty i subiektywny, pozostaje tym, czym był od początku: kolekcją obrazków z podróży kreślonych wzorem *zuihitsu*, czyli „tak, jak pędzel prowadzi”.

Los okazał się przewrotny. Po pierwszych dwóch latach w Japonii wiedziałam, że jeśli jest kraj, w którym czuję się naprawdę dobrze, to właśnie tam. Nie mam na myśli szczęścia, cokolwiek ono znaczy, ale pewien rodzaj kompatybilności między „ja” a światem zewnętrznym, który oferuje mi to, czego potrzebuję. Jestem obca i jestem daleko: od tego zaczynają się wszystkie moje japońskie opowieści. Okazało się, że Japonia jest dla mnie przygodą na całe życie, a po kilku miesiącach pobytu w Polsce

zaczynam tęsknić za pejzażem, który na początku pozbawił mnie słów i tchu. Za widokiem na górę Fudzi z okna mojego japońskiego mieszkania. Za smakiem zielonej herbaty, która nigdzie indziej nie ma takiego aromatu. Za sposobem, w jaki poruszają się ludzie płynący ulicami Shinjuku niczym ławice ryb. Za łagodnymi zimami, gdy kwitną kamelie i przez dwa miesiące codziennie świeci słońce. Za melancholią *hanami*. Porą deszczową i szumem wody w ogrodzie, smakiem słodczy z truskawkami i czerwoną fasolą. Za najpiękniejszymi pociągami świata, które często fotografuję wspólnie z patrzącymi na mnie z pełnym zrozumieniem Japończykami. Za wieczorami w dzielnicy Jiyugaoka, dwa kroki ode mnie, gdzie, jak właśnie czytam u Harukiego Murakamiego, mieszka Aomame. Za byciem u siebie i byciem daleko.

Postanowiłam wrócić do Japonii. Ciągle wracam. Z ostatnich dziesięciu lat połowę spędziłam w Japonii i mam coraz mocniejsze wrażenie, że pobyty w Polsce są czekaniem na kolejną podróż do Domu Słońca.

Japoński wachlarz. Powroty to książka, w której Czytelnicy znajdą uzupełnione teksty znane z *Japońskiego wachlarza* oraz nowe fragmenty i zdjęcia, ale starałam się nie naruszyć ducha tej opowieści. W tym sensie zaufałam Czytelnikom, którzy przyjęli moją książkę z taką serdecznością i zainteresowaniem. Liczne podróże z *Japońskim wachlarzem* i spotkania z ludźmi w różnych miastach Polski to jedno z moich najcenniejszych i najbardziej pouczających zawodowych doświadczeń. Jeśli ten emocjonalny zapis mojego pierwszego spotkania z Japonią tyłu ludziom dał przyjemność czytania i obudził ich ciekawość, warto było. Chciałam jednak dać w jakiś sposób znać, że autorka jest już gdzie indziej, w innym tekście i dlatego włączyłam do tej książki szczególnie ważny dla mnie esej, *Apetyt na kanibala*. Ten tekst napisany na zamówienie „Gazety Wyborczej” był trudnym wyzwaniem, bo musiałam najpierw odpowiedzieć sobie na pytania, po co w ogóle

pisać o japońskim kanibalu? Wiedziałam, że praca nad takim artykułem nie ma sensu, jeśli nie znajdę dobrego powodu – w mediach mamy dość glamoryzacji zbrodni i napawania się okropnościami. Liczę na to, że mi się udało. Ta makabryczna historia Japończyka, który zjadł Europejkę, służy mi jako przykład wzajemnego symbolicznego pożerania się przez Wschód i Zachód, co nie znaczy oczywiście, że nie odczuwam grozy czy obojętny jest mi los ofiary. „Cała ta Japonia jest czystym wymysłem. Nie ma ani takiego kraju, ani takich ludzi” – pisze cytowany przeze mnie na początku książki Oscar Wilde. Nawzajem tworzymy niestworzone historie na swój temat. Orientalistyczna wyobraźnia pełna jest gejsz *made in* Hollywood i vice versa – okcydentalistyczne oko widzi nas w krzywym zwierciadle tak, jak kanibal widział swoją ofiarę. Czasem ani jedni, ani drudzy nie zauważają tego, co intuicyjnie wyczuwają młodzi fascynaci japońskiej kultury popularnej – nie ma już ani dychotomii, ani przepaści, i coraz nam do siebie bliżej w globalnej wiosce, jaką stał się świat. Pisać tak, aby nie być kanibalem. Oto wyzwanie, przed którym staje każda osoba pisząca o kulturze, głodna inności.

podróż do Domu Słońca

Tam, tutaj. Oddalenie, dystans, rozsuniecie boków. Tam – to miejsce, gdzie mnie nie ma. Tutaj – to miejsce, w którym jestem. [...] I już jestem tam: na zewnątrz, poza „mną” samym. Zewnątrz to jednak eksponuje mnie jeszcze na inne zewnątrz: na ciało innego człowieka, na innego, o ile ten jest ciałem.

Jean-Luc Nancy, esej z katalogu wystawy *Gendai*

inne ciała: „ja” i „oni”

Moja japońska przygoda zaczęła się na frankfurckim lotnisku przed wejściem numer trzydzieści trzy, gdzie wraz z resztą podróżnych czekałam na samolot do Tokio. Oprócz mnie byli tam niemal wyłącznie Japończycy, co sprawiło, że nagle znalazłam się pośród ludzi, od których różniłam się wyglądem w sposób wyraźny i niemożliwy do zignorowania. *Gaijin*, czyli „obca”, „cudzoziemka”, dosłownie „osoba z zewnątrz”, jedno z nielicznych japońskich słów, jakie znałam, przyszło mi do głowy i rozbłysło na moim europejskim czole jak neon. W ramach obejmującego również Japonię dyskursu politycznej poprawności Japończycy starają się odejść od tego określenia, ale jest ono nadal w powszechnym użyciu. Oto więc ja, gaijinka. Zabawa w wyszukiwanie w tłumie azjatyckich twarzy, której oddawałam się z obsesyjnym upodobaniem od czasu, gdy zapadła decyzja o moim wyjeździe do Japonii, straciła sens. Teraz to „ja” byłam inna, a „oni” stawali odniesienie.

Niestety żadne subtelne i wyrafinowane wrażenie nie dodało blasku początkowi mojej podróży. Płaskie skośnookie twarze Japończyków wydawały mi się po prostu bardzo do siebie podobne. Ta boleśnie banalna refleksja nie sprawiła mi żadnej satysfakcji poznawczej, ale japońscy podróżni byli po prostu czarnowłosi, żółtawi i skośnooki. Wiadomo, że przeciętnemu Europejczykowi łatwiej odróżnić trzy japońskie samochody na parkingu niż trzech wczoraj poznanych Japończyków; tacy jesteśmy ograniczeni i co za szczęście, że umiemy z siebie żartować, bo przecież, broń Boże, nie ma to nic wspólnego z naszym

poczuciem wyższości. Po jakimś czasie przeciętny Europejczyk zaczyna rozpoznawać w Japonii odmienne typy antropologiczne, ale są to nadal różnice subtelne – kilka centymetrów wzrostu, kształt kości policzkowych, pieprzyk na policzku, odróżniająca dla potrzeb naszej percepcji jakąś czarnowłosą i czarnooką Mariko z Hokkaido od jej równie czarnowłosej i czarnookiej koleżanki z Kiusiu. Wizualne doświadczenie „bujnej różnorodności”, w jaką – według Rolanda Barthesa, autora *Imperium znaku* – przekształca się z czasem przywożony przez nas do Japonii stereotyp Japończyka, w moim przypadku było w oczywisty sposób kwestią przyszłości. Wyteżyłam więc wzrok w pierwszej próbie przeniknięcia tajemnicy, jaką ukrywa cielesna obecność Innego.

Japońskie ciała siedzące w poczekalni numer trzydzieści trzy były drobne i ładnie wpasowane w przestrzeń. Na ich szczupłych kolanach spoczywały szczupłe dłonie o podłużnych wąskich paznokciach. Bardzo zadbanych i czystych. Jedno obok drugiego siedziały w większości starsze ciała: delikatne kobiety o nienagannym makijażu i świeżych fryzurach sprawiających wrażenie, jakby przed godziną rozjaśnił je na identyczny odcień brązu ten sam fryzjer, starsi panowie wyszykowani na podróż z nieco przesadną pedanterią. Wszystkie ciała, niezależnie od płci, były jakby ubrane „za bardzo”. Przebrane w uniformy „prawdziwych japońskich turystów”, jakich zwarte grupy można zobaczyć w najatrakcyjniejszych miejscach starego kontynentu – na placu św. Marka, w Luwrze, pod krzywą wieżą w Pizie. Drobne ciała opakowane zostały starannie, elegancko i schludnie, bardzo dokładnie, a ich stroje uzupełniała zbyt duża ilość detali: pasujących do siebie chusteczek, pasków, szali i torebek, z rozmysłem skompletowanych czapeczek i kapeluszy, lornetek i aparatów fotograficznych w wymyślnych futerałach. Ciała te miały w sobie coś roślinno-morskiego raczej niż ssaczego. Nie szpeciły ich żadne fałdy i nawisy tłuszczu. Nie wylewały się na boki ze swoich eleganckich

GAI JIN

外

人

foreigner

form i siedziały tak, jakby starały się nie zajmować więcej miejsca, niż jest to absolutnie niezbędne. Francuski filozof Jean-Luc Nancy pisze, że w odróżnieniu od zachodnich ciał błonowatych, zamkniętych w sobie, monadycznych (a więc potencjalnie agresywnych), ciała japońskie są czułkowate; przyzwyczajone do ścisku, wypuszczają na boki czułki, badając przestrzeń, ale nie wchodząc pochopnie w kontakt z innymi ciałami. Za pomocą niewidzialnych radarów namierzają zbliżające się inne ciało i odginają się w bok jak ukwiały. Średnią wieku wśród tych czułkowatych ciał obniżały trzy młode dziewczyny (albo trzy klony dla mojego niewprawnego i niepoprawnego politycznie oka), które ukryły się w kącie, jeszcze idealnie gładkie, śliczne jak z reklamy azjatyckiego biura podróży. Jedna powiedziała coś do koleżanek, na co te zachichotały, zasłaniając usta dłonią w potrojonym geście. Coś w ich wyglądzie, świeżym, promiennym, erotycznym, odbiegało od normy, którą znam, i dopiero spojrzawszy na ich stopy, zrozumiałam, w czym rzecz. Dziewczęta trzymały je zwrócone czubkami do środka, tak jak czasem robią małe dziewczynki; trzy pary małych japońskich stópek obutych w najmodniejsze w tym sezonie kłapeczki z nosami w szpic stały pod identycznym kątem utworzonym przez połączone palce i rozsunięte pięty. Kłapeczki niby bardzo podobne do tych, którym i ja się nie oparłam, ale bardziej ozdobne, przesadne w modnym kroju, przerysowane. Bardziej znak buta niż but. Bucik bonsai. Niewinne lolitki, nieświadome (nie chcąc być świadome?) swojej dorosłej już kobiecości, zachichotały ponownie, trzy wąskie dłonie uniosły się jeszcze raz, by przykryć troje ust starannie pokrytych błyszczkiem. Siedzący najbliżej mnie mężczyzna zaszeleścił gazetą i spojrzał dyskretnie na zegarek. Potem przeniósł wzrok w tym samym kierunku, w którym ja patrzyłam, na promieniejące urodą dziewczęta. Jego towarzyszka ani drgnęła, może drzemała i tylko opal wielkości przepiórczego jajka zadrgała na jej palcu

plomiennym blaskiem. Japońskie ciała z czułkami: „Ostrożne”? „Nieśmiałe”? „Przebiegłe”? Przycupnęłam obok jednego z nich, a ono odsunęło się leciutko. Siedzieliśmy jak w zamkniętej kapsule. Gotowi do podróży na inną planetę. Po chwili najpierw niemiecki, a potem japoński głos powiadomił nas, że samolot jest gotowy do odlotu. Informacja wypowiedziana po japońsku była o wiele dłuższa, wygłoszona kobiecym głosem o oktawę wyższym od normalnego. Brzmiał tak, jakby jego właścicielka zapraszała nas do uczestnictwa w czymś wyjątkowo przyjemnym i niezwykłym, z góry przepraszając jednak, jeśli nam się nie spodoba, i biorąc całą winę na siebie. Cieniutkim głosem wydobywającym się z głębi ściśniętej krtani informowała nas być może, że jeśli będziemy mieć jakieś zastrzeżenia co do obsługi pokładowej, gotowa jest osobiście zadośćuczynić naszym krzywdom, natychmiast popełniając rytualne samobójstwo. W porównaniu z tą kwintesencją grzeczności powtórzona właśnie niemiecka informacja przypominała ponaglenie więziennej strażniczki i to ona dopiero skłoniła mnie do ruchu. Pochodzę z tej części Europy, gdzie niemieckie komendy są mocno wrośnięte w podświadomość i niektórym nadal śnią się w koszmarach. Gdy wstaliśmy, by ustawić się w wyjątkowo porządną kolejecę do samolotu, poczułam kolejny przypływ niesprecyzowanego cielesnego dyskomfortu. Nagle coś zaczęło być ze mną nie tak. Dziwnie. Z pewnością inaczej niż zwykle. Po chwili dopiero zdałam sobie sprawę, że – o cudzie – należę do najwyższych kobiet w poczekalni i góruję wzrostem nad wieloma mężczyznami. Nie do wiary – nad większością mężczyzn! Nigdy jeszcze nie patrzyłam na świat z tej perspektywy, a trzydzieści parę przeżytych lat pozwoliło mi przyzwycząić się do pożytków i wad związanych z faktem, że jestem raczej nieduża. Drobna, filigranowa, subtelna i delikatna – jakże nie cierpiałam tych określeń i świadomości, że osoba tej postury jest potencjalną ofiarą. Od dzieciństwa marzyłam, że

pewnego dnia stanę się wysoka, postawna i silna jak boksująca Hilary Swank w *Million Dolar Baby* (Za wszelką cenę).

Podobno Japończycy są coraz wyżsi. Statystyki podają, że niestroniące od mięsa i nabiału młode pokolenie przerosło rodziców i dziadków, ale średnia jest nadal niezbyt imponująca. Europejczycy i Amerykanie, którzy tak jak ja w ojczyźnie z trudem uchodzili za najwyżej średnich, w Japonii pierwszy raz w życiu cieszą się wysokim wzrostem. Szczupli zaś, z przyzwyczajenia kupując ubrania rozmiaru „S”, ze zdumieniem spostrzegają, że spodnie udaje się wciągnąć tylko do kolan, a nagle spotężniała klatka piersiowa rozsadza sweterek o przykrótkich i zbyt wąskich rękawach. Przekraczając granicę Japonii, niepostrzeżenie zmienili się bowiem w grubasów w rozmiarze „XL”. Ja sama z osoby niewyróżniającej się niczym szczególnym wyrosłam niespodzianie na kogoś, komu japońskie dziecko o buzi jak z kreskówki przygląda się z ogromniałymi ze zdumienia oczami.

W pewnym sensie przestałam być dawną sobą. Cudzoziemka, gajjinka – to kluczowe słowo odtąd ma otwierać, a niekiedy i wy-czerpywać charakterystykę mojej osoby. W ten sposób Japonia pozbawiła mnie pewności. Stałam się nagle kobietą innego rozmiaru, dużą blondynką w tłumie drobnych, ciemnowłosych osób. Ta nagła translokacja „ja” uświadomiła mi, że podróż do Japonii będzie się różniła od wszystkich innych.